LECH
Tygodnik Illustrowany

Nr. 14. Poznań, dnia 5 Kwietnia 1879. Rok II.

EWARYST ESTKOWSKI.

Liczba nauczycieli jest dziś dość znaczna, ale mało między nimi takich, którzyby szczytne powołanie nauczycielskie uważali za kapłaństwo. Niestety! dla większéj ich części jest zawód nauczycielski tylko środkiem zarobienia sobie na kawałek chleba. To też imiona tych pedagogów, którzy ukochawszy wzniosły zawód nauczycielski, poświęcają mu wszystkie siły żywota, żyć będą zawsze w wdzięcznéj pamiątce późnych nawet pokoleń. Tym większą zaś czcią opromienić należy tych szlachetnych pracowników, którzy własną, usilną pracą dobijają się mozolnie wyższego stanowiska, aby swą wiedzą i czynami wywierać wpływ dobroczynny na cały naród. Do takich zacnych krzewicieli oświaty, pracujących w cichości nad szczęśliwszą przyszłością naszą, należy Ewaryst Estkowski. Był to czysty, szlachetny charakter, pełen zasług o wzrost oświaty ludowéj nietylko w saméj Wielkopolsce. Ztąd też słuszna, aby żywot tego szlachetnego męża był powszechnie znany.

Urodził się Estkowski 1820 r. we wsi Drzązgowie niedaleko miasta Środy w Wielkopolsce. Dziecięce jego lata były bardzo nieszczęśliwe, gdyż w szkółce wiejskiéj, do któréj uczęszczał, był srogi nauczyciel. Ten za najmniejsze przewinienie karał surowo, a co najmniej gniewliwemi słowy traktował uczni. Dusza młodego Ewarysta była szlachetna, tkliwa, łagodna, a tu na każdym kroku spotykało go brutalstwo, zabijające w nim dobre zarody i popędy. To też biedny chłopiec popadł w rodzaj obłąkania. Zobojętniał na wszystko, nic go nie cieszyło. Nauczyciel osądził, że nic z niego nie będzie. Wreście ojciec z powodu małych postępów w naukach zapowiedział Ewarystowi, aby mu się nie pokazywał na



Ewaryst Estkowski.

oczy, a nauczyciel wypędził go ze szkoły. Ten wypadek obudził Estkowskiego jakoby z letargu. Drzemiąca siła charakteru nagle się ocknęła w jego duszy. Piękne opowiadania z historyi biblijnèj, a mianowicie historya o Józefie, sprzedanym przez braci do Egiptu, wpłynęła dziwnie błogo na umysł i serce zafukanego pacholęcia, budząc w nim nadzieję szczęśliwszéj przyszłości. Jął się tedy uczyć pilnie, tak że niedługo należał do pierwszych uczni w szkole.

Ojciec oddał go w naukę do stolarza, atoli na szczęście czy nieszczęście majster był pijak i gwałtownik, ztąd młody terminator był zniewolony warsztat opuścić. R. 1836 wstąpił Ewaryst do seminaryum nauczycielskiego w Poznaniu. Po ukończeniu tamże przepisanego kursu został mianowany nauczycielem we wsi Wojciechowie w powiecie śremskim. Estkowski z całym zapałem młodzieńczéj duszy oddał się pracy nauczycielskiéj. Nietylko na dzieci ale i na dorosłych w gminie wywierał wpływ dobroczynny. Zajął się téż pilnie uprawą kawałka roli, jaki mu do użytku przeznaczono. Niestety! piękne jego usiłowania niweczył inspektor, który stawiał różne przeszkody Estkowskiemu. Przyszło do burzliwych zajść, tak iż w końcu przeniósł się Ewaryst do miasteczka Mixtat w powiecie ostrzeszowskim.

W téj mieścinie zaczął się rozszerzać widnokrąg wiedzy i poglądu naszego pedagoga. Tu zaczął pisywać artykuły do pism czasowych, a mianowicie do Gazety W. X. Poznańskiego, Tygodnika Literackiego, i t. d. Szczególnie redakcya tego ostatniego pisma wywarła wpływ dobroczynny na Estkowskiego. Mianowicie zaś odznaczył się on artykułami w pismach pedagogiczych: *„Pismo dla ludu i dla nauczycieli ludu polskiego,"* oraz w miesięczniku: *„Kościół i Szkoła,"* wydawanym w Gnieźnie. Tam zamieszczał artykuły, poruszające żywotne sprawy, pełne zdrowych myśli i poglądów.

Czując brak wykształcenia udał się Estkowski do Wrocławia, aby przy tamecznym uniwersytecie przyswoić sobie więcéj naukowych wiadomości. Walczył tu nieraz z niedostatkiem. Wśród młodzieży polskiéj odznaczał się tak zaszczytnie niezłomnością charakteru, że go uczczono przydomkiem Chrobrego. W 1848 r. był mianowany nauczycielem przy seminaryum nauczycielskiém w Poznaniu. Na tém ważném stanowisku byłby oddał nieocenione przysługi naszemu społeczeństwu, gdyby nie ruchy powstańcze 1848 r. Posądzono go o udział w tych czynnościach i bez udowodnienia winy usuniono go z posady.

Estkowski nie zraził się tym ciosem, ale korzystając z swobód konstytucyjnych jął się całą siłą pracy piśmiennéj nad podniesieniem narodowéj oświaty pomiędzy nauczycielami. Był on jednym z głównych założycieli Towarzystwa Pedagogicznego, które choć krótko istniało, przecież wywarło zbawienne skutki. R. 1849 założył pismo miesięczne *Szkołę polską*, którą mimo szczupłą liczbą przedpłacicieli, przez pięć lat niezmordowanie wydawał. Od 1850 r. redagował Szkółkę dla dzieci, która do 1854 r. wychodziła. Ułożył też bardzo dobry elementarz i napisał kilka broszur ludowych. Pewien czas wydawał także Wielkopolanina, pismo ludowe. Na utrzymanie życia zarabiał sobie głównie lekcyami prywatnemi. Niestety! słabość piersiowa nie dozwalała mu zupełnie oddać się pracy.

R. 1853 odwiedził Paryż, gdzie poznał Mickiewicza. Ciekawe szczegóły o pobycie Estkowskiego w Paryżu, podaje jego przyjaciel Lenartowicz w *„Listach o Mickiewiczu."* Ewaryst skrzętnie starał się poznać wszystko co dobre w Paryżu, aby to póżniéj mógł zużytkować dla dobra kraju.

Pewien czas pracował Estkowski w prywatnym zakładzie naukowym Dr. Beheim-Schwarzbacha w Ostrowie pod Wieleniem. Rozwijająca się coraz więcéj słabość piersiowa zmusiła go do szukania ratunku u wód w Soden niedaleko Frankfurtu nad Menem. I tu daleko w obczyznie zakończył ten mąż zacny 1856 r. swój żywot, licząc dopiero 36 lat wieku. Ileżby jeszcze był mógł zdziałać dobrego, gdyby pasmo dni jego było przedłużone. Pozostała po nim wdowa i dwoje dzieci.

Tyle pokrótce o najważniejszych datach jego życia, następnie pomówimy o jego pismach.

(Dokończenie nastąpi).

KLARA.

Powieść

Pauliny z L. Wilkońskiéj.

(Dokończenie.)

Doniesiono Stanisławowi — zaczął Łucyan opowiadać że żona jego miewa tajne schadzki u krawcowéj z Julianem Sieradzkim. Zaczął śledzić, jakóż dziś spotkał ich tam rzeczywiście. Stała się awantura, okropność, szkandal. Dość na tem, że Krężelski kazał odwieść żonę do rodziców i za nic w świecie żyć z nią nie chce. Ale co ci to, moje kochanie.

Klara była strasznie blada, oczy nieruchome, usta drżały jakby w febrycznéj gorączce. Przesunął jéj się przed oczyma Albert i struchlała na samą myśl, że i ją mogłoby spotkać coś podobnego. Co tu począć? Czy się wyspowiadać z wszystkiego Łucyanowi? Ależ bojaźń, wstyd, obawa, Klara była jak na żarzących węglach, a jeżeli zbłądziła, to kara była nad wszelkie wyrazy srogą.

Przeraził ją też głęboki smutek i boleść Łucyana. Poznała jak ją czule i mocno kochał — a ona? O i ona go kochała, ale jednak nie czuła się bez winy ze względu na Alberta, od którego miło jéj było przyjmować hołdy.

Wtem wszedł Paweł mówiąc: Brat pana Krężelskiego prosi bardzo, aby wielmożny pan zaraz do nich przybył.

Powiedz że spieszę — rzekł Łucyan. Przystąpił do Klary i objął ją: jesteś przerażona, biedaczko, uspokój się, nie bierz tego tak bardzo do serca — i pocałował ją. Iść trzeba, skoro mnie wzywają, a żal mi ciebie zostawić. Ale zapewne przyjdzie Złotawiecki, to się rozerwiesz...

— Nie przyjmię... nie przyjmię nikogo! wyrwało się z jéj piersi — nie chcę widzieć się z nikim! Nie mogę!

— Uspokój się aniołku! przycisnął ją do piersi. — Jak tylko będę mógł, to powrócę. Zostań z Bogiem! i wyszedł.

Klara zadzwoniła na Pawła.

— Ktokolwiek przyjdzie, to powiedz: że słaba jestem i nie mogę przyjąć nikogo — rozkazała mu.

Przebiegła pokój, jakby w szale. Po chwili posłyszała drzwi skrzypnięcie i głos Alberta.... Drzwi znowu zamknęły się za nim — i wszystko ucichło.

Przystąpiła do sekretarki, wyjęła ze skrytki dwa jego listy i położyła je na wierzchu teki. Otworzyła okno i przez chwilę mroźnego zaczerpnęła powietrza.

Było już po 9tej, gdy Paweł wszedł do pokoju i list jéj podał.

— Od kogo? porwała się przecucona.

— Od jaśnie pana z hotelu, — odrzekł i wyszedł.

Klara drżącą ręką rozłamała pieczęć. Lucyan pisał.

„Najdroższy mój Aniołku! Stanisław ciężko zaniemógł i miał atak apoplektyczny. Przywołany lekarz krew' puścił. Zostanę tu przez noc. Wybaczysz przez wzgląd na nieszczęśliwego. Śpij spokojnie, moje ty szczęście całe!

Lucyan.“

Klara rzuciła się na kanapę i żałosnym wybuchnęła płaczem.

Klara rychło wstała nazajutrz, bo doleżeć nie mogła, a Lucyana nie było jeszcze. Zaniepokojona posłała Pawła po wiadomość do hotelu. Niezadługo powrócił z odpowiedzią: że pan najdejdzie zaraz.

Nie wyszło też pół godziny, a Lucyan wszedł do pokoju.

— Dzień dobry, Klareczko! wymówił, całując ją w rękę — byłaś niespokojną. Przepraszam cię! Już teraz nie wyjdę. Siadajmy! — rzucił się na kanapę i posadził żonę przy sobie.

— To i cóż tam p. Stanisław? zapytała.

— Jest lepiéj, Lecz wczoraj źle było bardzo: lękaliśmy się drugiego ataku... Okropna to historya! Stanisław, jak wiesz, został anonymem powiadomiony o stosunki żony z Sieradzkim, i dołączono mu list, który Klementyna do swojego napisała Adonisa.

— List? Klarze tchu zabrakło.

— A tak, i to wydający rzecz całą wyraźnie wcale. A wypowiedziano, że takich listów pan Julian posiada dużo.

— Ależ anonym!

— Zdaje się, że go wyprawił pan Kalikst Żeronowicz, bo on bawił przez dni kilka u Sieradzkiego, i udało mu się zapewne list Klementyny pochwycić.

— Ależ to jest podle! Nikczemnie!

— Zapewne! urażony oskarżał o występek haniebny! Kalikst pod wszelkim względem niebezpiecznym jest człowiekiem. Stanisław chłodno w swoim przyjął go domu — bo go nie ceni. Sieradzki dał mu także poznać wyraźnie, że go pozbyć się pragnie, bo mu zawadzał. A Klementyna zrobiła mu impertynencyą, — więc i mścił się bezzwłocznie. Gdyby jednak każde z osobna, było z nim w dobréj zostawało komitywie, nie byłby wyszedł na denuncyanta. Znać losy tak zrządziły! Nikczemny Kalikst — był tylko ich narzędziem i Nemezys!

— Boże mój! Klara zadrżała, — jakżeż to wszystko w życiu niebezpiecznem być może!.... Lucku! przytuliła się do niego, a tchu jéj nie stało — nie mówiłam ci o tem, jako o rzeczy nic nieznaczącéj?... ale mam dwa bileciki od pana Złotawieckiego, na które słów parę odpowiedziałam...

— Ty, w korespondencyi ze Zł.? — Lucyan poczerwieniał.

— Pokażę ci zaraz — poskoczyła do sekretarki i liściki mu podała.

— Lucyan je przeczytał i uśmiechnął się.

— To i cóżeś mu odpowiedziała?

— Na piérwszy, że *Revue des deux mondes* z tego roku nie czytałam; a na drugi: że wieczorem będziemy w domu.

— Uśmiechnął się znowu i wyrzekł, podając jéj weliny:

— Weź że tam sobie te listy.

— Lepiéj, że je zniszczę — podarła je i w kominek wrzuciła.

Po twarzy Lucyana dziwne zadowolnienie przebiegło.

— Lucku! usiadła przy nim i położyła głowę na jego ramieniu — ależ to jeszcze nie wszystko....

— Cóż tedy było więcéj? położył dłoń na jéj głowie.

— Ja.... jam chciała podobać się jemu....

— Kokietowałaś go... — Lucyan niby zasapał się trochę.

— Kokietować... ej nie!... Ale, ach, tak sobie... dla zabawki....

— Potulna i niecna to zabawka, moje dziecko! Zabawka, która do zguby doprowadzić może..... jak tę Klementynę nieszczęsną!

— Och, nie! Lucku, nie, nie! zawołała z przerażeniem.

— Ale jakżeż sobie pan Z. postępował?

— Powiedział mi grzeczność niejedną.... i.... i że.... że.... że w P. pozostanie, a nie pojedzie do Warszawy.

— I myślisz, że on dla ciebie tutaj pozostał? Lucyan porwał się rozburzony i szybko wybiegł na środek pokoju.

— Lucku! Przez miłość Boga! Lucku! upadła przed nim na kolana i ręce złożone ku niemu uniosła.

Podniósł ją z ziemi i na fotelu posadził. Zapłakała.

— Daj mi się wysapać trochę, wymówił głucho i szybkim krokiem przemierzył pokój.

Klara płakała.

Przystąpił potēm do niéj, podniósł ją z fotelu i serdecznie przytulił w objęciu. Miał łzę na źrenicy. Klara na piersi jego załkała.

— No, już dosyć tego, wyrzekł po chwili — uspokój się! Siadaj! — posadził ją na kanapie przy sobie. — Posłuchaj mnie Klaro! Weszłaś nieoględnie na złą drogę i po śliskiéj a nęcącéj poczęłaś ślizgać się ścieżce i czyniłaś to niby dla zabawki, a byłoby ciebie mogło zaprowadzić... w przepaść. Bezmyślna, chciałaś naganne podraźnić uczucie i wywołać uwielbienie dla siebie, a niedoświadczona, z własnem poczęłaś igrać sercem. Złotawieckim nie dziwię się wcale: mężczyzni nader pochopni z takich korzystają sposobności, a Józefów dziś nie ma. Tacy panowie Złotawieccy wychodzą cało, pod względem serca, z przejść takich i dramacików, a potém... i podrwią sobie, wyśmieją. Ale tak, jak panowie Juliany i. t. d. wypłyną zdrowo, — kobieta, która sobie lekkomyślnie postąpiła, nieszczęsną stanie sią ofiarą i odtrącona przez męża, a przez kochanka opuszczona! Pan Albert jest może więcéj honorowym pod tym względem — znam go za mało. Ale, zawsze, ocalałby bez rany. Kokietowanie jakiego młodzieniaszka, inne mogłoby wywrzeć skutki: hańbiące każdą kobietę — kokietkę. Pamiętaj o tem Klaro!

— Okropne.. . prawisz mi mowy!... — zawołała ze łzami.

— Musiałem to uczynić — przycisnął głowę jéj do piersi — musiałem ci wszystko wypowiedzieć jasno, dla nauki!... A teraz, już też ani słówka więcéj!

— Uciekajmy z P.!

— Czy lękasz się tutaj niebezpieczeństwa?

— Nie! Boże uchowaj! uniosła głowę — dziś wszystko mi wstrętném, obmierzłem! Złotawieckiego widzieć już nie chcę!

— Czyliż on ci kiedy coś mówił o miłości?

— Ani słóweczka! Nie! Nic nigdy znaczącego!

— To i spokojną być możesz.

— Nie przyjmę wizyty jego nigdy!

— Gdy mnie w domu nie będzie, nie przyjmij. Ale niechaj bywa u nas jak dawniéj. Dziwiłoby go takie postępowanie i dało do myślenia. A dziwiłoby i wszystkich, którzy nas znają i pana Alberta. Pozostańmy więc niby-to na dawniejszéj stopie. Ale ty, pod jakimbądź pozorem, nie bądź z nim nigdy sam -- na sam: uszanuje on to zapewne. Wszakżeż on niebezpiecznym dla ciebie nie jest? zapytał z głębokiem uczuciem a łagodnie -- serce twoje....

— Och Łucyanie! zawołała i zsunęła mu się do stóp — ja tylko ciebie kocham! Obłędniałam lekkomyślnie na chwilę, ale ty masz całe moje serce na zawsze! Ty jeden tylko!

Podniósł ją i ze łzami uścisnął.

— Będę u Zł., pomówię z nim o téj całéj strasznéj historyi Klementyny, bo rzecz ta dość głośna. A potém zaproszę go na herbatę. Bądź dla niego taką, jak zawsze, a dasz mi najwyższy dowód przywiązania: bądź swobodną a ogledną!

Pan Albert zatém bywał, ale nigdy już sam — na — sam nie widział Klary. Możnaby nawet przypuścić, że i sam tego unikał. Przychodził do ich loży, niby to było jak dawniéj, a jednakże zmieniło się wszystko. Wyjeżdżał i po razy parę a zawsze na dni kilka.

Nadeszła kanwa z Warszawy, włóczka i wzory. A Klara z gorącem zamiłowaniem haftować zaczęła: dobierała kwiaty, arabeski, kolory i cienie, — co jéj nieokreśloną sprawiło przyjemność.

O nieszczęśliwéj Klementynie wiedzieli, że jest u rodziców, i że wiele musi znosić od ojca. St. Krężelski przyszedł do siebie, lecz cierpiał moralnie zawsze. Inci z domu wydać nie chciał i postarał się dla niéj o dobrą, sumienną opiekunkę.

Pan Julian S. wziął paszport i za granicę wyjechał. A nie zapytał nawet co z biedną dzieje się Klementyną. W pierwszych dniach kwietnia wrócili Trzebiewscy do Sosnówca, wszystko tam Klarze teraz niby przedstawiło się powabniéj. Zajęła się i ogrodem, który upiększyć postanowiła — i nieraz przywodziła sobie w myśli opowiadanie Wandy. Przy tem kanwowa robota skrzętnie postępowała.

Winniśmy także dodać, że i zamiłowanie romansów francuzkich przemieniło się całkiem.

Lucyan, zdawało się że teraz więcéj jeszcze pokochał żonę. A raczéj więcéj dbał o nią: szukał i wynajdywał dla niéj rozrywki i zajęcia. I często nieraz kuzynki, kuzynowie i zaprzyjaźnione osoby, przebywały w Sosnówcu: miała więc Klara czas zapełniony. A mając u siebie gości, pamiętała i o domu, że wkrótce i wcale skrzętną stała się gosposią.

W rok potem dał im Pan Bóg synka — to już i odtąd raj dla niéj zawitał!

Wyjątek z Pana Tadeusza

po czesku i po polsku.

Muzyka na rogu Wojskiego.

V tom Vojský roh svůj dlouhý, k torbě přivěšený,
roh bůvolí, jak hroznýš pestrý, zakroucený,
nasadil k ústům, obě ruce přikládaje,
tvář dmul jak dýni, v ocích krví podbíhaje,
přimhouřil víčka, vtáhnuv do sebe půl břicha
a z plných plic vší silou dechu nabrav, dmychá
i troubí. Roh jak vichr silným proudem duje,
v poušť nesa hudbu, kterou ohlas opakuje.
Tu lovci ztichli, honci udiveni stáli, —
zvuk čistý, mocný, divný ladně plynul k dáli;
neb celý um, jenž někdy stařec v lesích slynul,
teď před myslivci ještě jednou porozvinul.
Vřesk rohu vzrušil bory, zvuče z doubrav klína,
jak by v ně vpustil smečky, lov kdy započína,
neb honby zobrazení hrou se k uším neslo:
dřív bystrý zvučný skřek — toť prvni k lovu heslo,
zas ryk, jak hraní chrtů vypodobit chtěl by,
a mezi tím ráz tvrdší, jako rachot střelby.

Tu přestal, roh však držel; ještě hudba vála,
jak hrál by Vojský dál, — však ozvěna to hrála.

Zas zadul. Jak by rohu podobu dal jinou,
tak jeho dechem z něho různé hlasy plynou:
tu jak by napínal se v táhlosť vlčí šíje,

Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty
Swój róg bawoli, długi, centkowany, kręty
Jak wąż boa; oburącz do ust go przycisnął,
Wzdął policzki jak banie, w oczach krwią zabłysnął,
Zasunął w pół powieki, wciągnął w głąb' pół brzucha
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,
I zagrał. Róg jak wicher, wirowatym dechem,
Niesie w puszczę muzykę i podwaja echem.
Umilkli strzelcy, stali szczwacze zadziwieni,
Mocą, czystością, dziwną harmonią pieni.
Starzec cały kunszt, którym niegdyś w lasach słynął,
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;
Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,
Jakby psiarnię w nię wpuścił i rozpoczął łowy.
Bo w graniu była łowów historya krótka:
Zrazu odzew dźwięczący, rzezki: to pobudka;
Potem jęki po jękach skomlą: to psów granie;
A gdzie niegdzie ton twardszy jak grzmot: to strzelanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze: a to echo grało.

Zadął znowu. Myślałbyś, że róg kształty zmieniał,
I że w ustach Wojskiego to grubiał to cieniał,
Udając głosy zwierząt: to raz w wilczą szyję

tak podivně hned zdlouha, pronikavě vyje;
zas v medvědí se jícen řvoucí rozevírá,
a hned zas bekot zubrův z něho v sluch se vtírá.

Tu přestal, roh však držel; ještě hudba vála,
jak hrál by Vojský dál, — však ozvěna to hrála,
neb vyslechnuvše toho arcidíla zvuky
je dubům pěly duby, bukům opět buky.

Hrál znova. V rohu jak by rohy steré pěly,
ryk lovců, psů i zvěře, matné vřesky zněly,
hněv, bázeň, chvat: až Vojský, zamířiv si v hůry,
vítězoslavný hymnus vyrazil až v chmury.

Tu přestal, roh však držel; ještě hudba vala,
jak hrál by Vojský dál, však ozvěna to hrála.
Co stromů, tolik rohů ozvalo se v boru,
a jedny druhým nesly píseň v ladném sboru;
i rozlila se hudba jemně šíř i dále,
co chvíli krasší tišší, zjasňujíc se stále,
až kdesi předaleko zašla v dechu mírném
kdes na nebeském prahu v modru nedozírném.

Tu Vojský z obou rukou roh svůj pustil zase,
ten spadnuv potřásal se na řemenném pase;
a Vojský rozpjav páže s rozjasněnou tváří,
i s povznešeným zrakem jako nadchnut září,
tak lově sluchem ještě zvuky zmírající.
V tom rozlehal se lesem potlesk hřímající
i na sta hlučných pochval, na sta blahopřání.

Tłum. na czeskie E. Krasnohorska.

Przeciągając się długo, przeraźliwie wyje;
Znowu, jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się gardło,
Ryknął; potem beczenie żubra wiatr rozdarło.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze: a to echo grało.
Wysłuchawszy rogowéj arcydzieło sztuki,
Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Dmie znowu. Jakby w rogu były setne rogi,
Słychać zmięszane wrzaski szczwania, gniewu, trwogi.
Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry
Podniósł róg, i tryumfu hymn uderzył w chmury.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze: a to echo grało.
Ile drzew, tyle rogów znalazło się w boru,
Jedne drugim pieśń niosą jak z choru do choru.
I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,
Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu —

Wojski obiedwie ręce, odjąwszy od rogu,
Rozkrzyżował; róg opadł na pasie rzemiennym
Chwiał się. Wojski z obliczem nabrzmiałem promiennem.
Z oczyma wzniesionemi, stał jakby natchniony,
Łowiąc uchem ostatnie znikające tony,
A tymczasem zabrzmiało tysiące oklasków,
Tysiące powinszowań i wiwatnych wrzasków.

GULISTAN.

„Na pochyłe drzewo kozy skaczą“ mówi dawne przysłowie, Takiem pochyłem drzewem jest niestety naród nasz polski. Pochyliliśmy się z własnéj winy, przygniotła nasz ku ziemi niegodziwość sąsiedzka — a teraz nie tylko że różnorodne pasożyty obwinęły nasz pień i wyssysają z nas soki żywotne, — ale jeszcze rzucają na nas obelgi i szyderstwa, które nawet niezawsze należytéj doczekają się odprawy. Niedawno temu w parlamencie narodu, który w swéj bucie ma się za naród najucywilizowańszy w świecie, śmiał twierdzić mąż, który z urzędu swego — jako kierownik naukowego zakładu — powinien posiadać ogólne wykształcenie, iż Polacy nie posiadają literatury. Gdyby coś podobnego powiedział Polak, okrzykniętoby go — i słusznie nieukiem, ignorantem; — innym to uchodzi, bo my jesteśmy owem drzewem pochyłem, po którem i kozom bezkarnie skakać wolno.

Zbyteczną byłoby rzeczą wykazywać śmieszność, powyższego sądu o literaturze polskiéj. Nieuk wydający sąd podobny niechaj zajrzy do byle któréj historyi literatury lub do Bibliografii Estreichera — a powstydzi się słów swoich. Jeżeli zaś nie we wszystkiem dotrzymujemy kroku szczęśliwszym od nas narodom, to winą jest tego nasze smutne położenie polityczne i ten właśnie wynaradowiający system wychowania szkólnego, którego obroną ma być ów — mniemany brak literatury. Usprawiedliwiacie swój system, gwałcący prawa przyrodzone brakiem literatury — lecz zmieńcie system, a i oświata i literatura narodowa wzmoże się i rozwinie.

Najlepszym tego dowodem jest rozwój literatury w czasach niepodległości narodowej. Polacy nie pozostawali bynajmniéj w tyle po za innemi narodami — a pod niejednym względem przodowali innym. Nowy na to dowód dostarczyła świeżo Biblioteka Krasińskich w Warszawie wydaniem dzieła, które ma tytuł: „Perska księga na polski język przełożona od Imci. Pana Samuela Otwinowskiego, Sekretarza J. Kr. mci. nazwana *Gulistan* to jest *Ogród różany* — z dawnego rękopismu wydał I. Janicki.“ (Muzeum K. Świdzińskiego T. IV. — Warszawa, 1879 w 8 wielkiéj stron XVIII i 285). Gulistan jest utworem perskiego poety Sa'dego z Szyrazu, żyjącego w 13 wieku po Chr, a jestto istny ogród poetyczny całego wschodu muzułmańskiego, księga mądrości szczepów perskich, arabskich i tureckich. W 8 rozdziałach zawiera ona przypowieści, filozoficzne i religijne, poważne maksymy i wesołe dowcipy — a wszystko odziane w barwną szatę poetycznego języka ludów wschodnich. Posłuchajmy, co mówi o téj księdze jeden z najznakomitszych znawców literatury ludów wschodnich W. Kazimirski: „Gulistan jest w Persyi pierwszym i ostatnim i nieodstępnym każdego Persa towarzyszem, i że tu użyję wyrażenia perskiego, towarzyszem starych i młodych, wielkich i małych, znakomitych osób i pospolitych ludzi, wysokich i poziomych. Jest w ręku wszystkich. . . Jego powieści i pzzypowieści, porównania i żarciki każdy prawie ma w pamięci, i na zawołanie; jeden stósowny do zdarzenia wierszyk umie przytoczyć, drugi maxymą lub przysłowiem z Gulistanu argument sobie ukuć, jeden

westchnąć erotycznym wierszem z Gulistanu, drugi innym jakim wierszykiem rozweselić lub rozśmieszyć... I nie w samej Persyi, u Persów, jest Gulistan Sa'dego znany, ceniony, upowszechniony. W całéj prawie Azyi mahometańskiéj, gdziekolwiek język perski stał się językiem urzędowym i mową wykształceńszego towarzystwa, w Indyach, gdzie go zanieśli zdobywcy tureckiego plemienia, w Turkestanie, gdzie ubogi i nieokrzesany język turecki był tylko niejako sprzętem domowego użycia a perski najprzedniejsze miejsce zabierał, Gulistan Sa'dego był ulubioną książką. W Turcyi zaś ottomańskiéj, gdzie język Turkestanu okrzesany i zbogacony wyrazami arabskiemi i perskiemi, zajął stopniami osobne stanowisko i przyszedł do obfitej choć nie oryginalnéj literatury, bo w niej tylko wzory perskie naśladowano, Gulistan był i jest jeszcze pierwszą i główną podstawą nauki perskiego języka i niemniej jak w Persyi ulubionėm dziełem."

Ze słów powyższych widzimy, jak wybitne Gulistan zajmuje miejsce w literaturze ludów wschodnich i jak ważnem jest źródłem do poznania zwyczajów i sposobu myślenia tychże ludów. To też gdy znajomość Wschodu rozpowszechniła się w Europie — wzięto się do tłómaczenia téj księgi na języki europejskie. Do dzisiaj są już cztery tłómaczenia angielskie, pięć francuskich, kilka niemieckich, jest i rosyjskie a zapewne i w innych językach.

Polską literaturę zbogacił przed 3 laty przekładem Gulistanu znakomity oryenstalista W. z Bibersteina Kazimirski, żyjący w emigracyi, autor najlepszego dotychczas słownika arabsko-francuzkiego i tłómacz Koranu na język francuzki. Tłómaczenie jego Gulistanu wyszło w r. 1876 nakładem właściciela biblioteki Kórnickiéj hr. Jana Działyńskiego pod tytułem: „Gulistan to jest Ogród różany Sa'dego z Szyrazu, z oryginału perskiego przełożył W. z B. Kazimirski." Stanowisko tłomacza w szeregu oryentalistów daje gwarancyą, iż tłomaczenie dokonane zostało wiernie i odpowiednio do wymagań nauki a przedmowa o literarurze perskiej w ogóle a a mianowicie o życiu i pismach Sa'dego tem większej dodają wartości wydaniu biblioteki kórnickiej. Nadmienić też należy, iż tłómacz przybywając dłuższy czas w Persyi w charakterze urzędnika francuskiego, miał sposobność na miejscu badać i poznać tak język, jak zwyczaje i sposób myślenia ludów wschodnich. Przekład Kazimirskiego dorównywa z pewnością najlepszym przekładom na inne języki.

Nie tylko jednakże nie ustępuje literatura polska w téj mierze innym literaturom, ale ma nawet przed niemi pierwszeństwo, jak tego dowodzi wspomniane wyżéj tłómaczenie Gulistanu, wydane świeżo przez bibliotekę Krasińskich. Kiedy bowiem pierwsze znane dotychczas tłómaczenie ukazało się dopiero w r. 1624, w którym Anoré du Ryez wydał swój „Gulistan ou l'empire des roses", posiadaliśmy już polskie tłómaczenie dokonane przez Samuela Otwinowskiego mniéj więcéj w latach 1610 — 1625. Jak tyle innych pomników cywilizacyi naszéj, tak i ten zabytek literacki narażony był na zatratę lub wieczną niepamięć, — należy się przeto wdzięczność wydawcom, iż wydobyli go na widok publiczny i nowy dorzucili promień do obrazu naszej oświaty.

Z porównania z przekładem Kazimirskiego okazuje się, że tłómaczenie Otwinowskiego nie jest kompletnem i nie jest zupełnie wiernem, dosłownem. Panuje tu większa dowolność, większa swoboda, niż ją dzisiejsza nauka tłomaczeniom w ogóle przyznaje, — treść główna jednakże, myśl oryginału dobrze jest zazwyczaj pochwycona i oddana. Panujące pod względem dokładności niedomagania wynagradza sowicie piękny język, przypominający złote czasy naszego piśmiennictwa. Przyznać należy słuszność wydawcy, który powiada, że „w Samuelu Otwinowskim odnajdujemy jednego z poprawniejszych pisarzy a w pracy jego zabytek języka przypominający najpiękniejszą epokę piśmiennictwa naszego."

Aby dać czytelnikom wyobrażenie o języku Otwinowskiego a zarazem o treści Gulistanu, przytaczamy na zakończenie kilka z niego wyjątków.

(str. 27) Król jeden mając przy sobie pacholę, które nigdy okrętu nie widziało, wsiadł w okręt. A gdy odepchniony od brzegu od wałów morskich okręt począł być miotany; pacholę z bojaźni wołać i płakać zaczęło, tak iż od strachu prawie go febra popadła. Napominali go długo, i aby milczał prosili. Królowi też wrzasku jego słuchać się uprzykrzyło, gdyż przyrodzenia królewskie i pańskie są od innych różniejsze, wrzaskom, płaczom nieprzywykłe. Gdy tedy tego nazbyt było, nie wiedzieli, co daléj z nim czynić. Aż jeden w onymże okręcie siedzący królowi rzekł:

— Jeśli wola i rozkazanie królewskie będzie, uczynię to, iż ten umilknąwszy, cicho siedzieć musi.

Król: I owszem będziem radzi. Ów tedy kazał ono pacholę liną w pas opasawszy w morze wrzucić i kilka razy wody morskiej, jakoby tonącemu, dał się napić. Potem go wyciągnąwszy, na jednem miejscu w okręcie posadził. Pacholę wyciągniony obiema rękoma się u siedzących ułapiwszy, cicho siedział, i więcej nie płakał ani sobą trwożył. Podobała sie ona sprawa królowi i kazał pytać, coby to za tajemnica była.?

Odpowiedział on:

Ten jeszcze tonącego nie widział, ani wody morskiej pił: przeto w okręcie siedząc, bał się. Teraz już wie, że lepiej w przechylającym się okręcie siedzieć, niż w stojącej wodzie tonąć. Nie doznać mówią: nikomu zdrowie nie smakuje, aż jakiej choroby skosztuje.

Co u ciebie szpetnego, mnie sie pięknem widzi;
Kto niegłodny, jęczmiennym chlebem się rad brzydzi
Takiemu człeku, co się w rozkoszy urodzi,
Wszelką przygodę znosić z ciężkością przychodzi.

(str. 47) Powiadają, że król Nusirewan, będąc w łowiech, kazał sobie ptaka jednego upiec. Do czego gdy soli potrzeba było, jeden ze służebników bieżał do wsi przyległej, aby soli przyniósł. Król pobaczywszy, posłał za nim, aby soli za pieniądze kupił, a darmo nie brał, aby w obyczaj to nie weszło, a wieś aby zatem nie spustoszała. Panowie to usłyszawszy, rzekli: — Dla trochy soli co za szkodę wieś odniesie? Opowiedział król:

— Grunt niesprawiedliwości naprzód po trosze na świecie zakładano, ktorej za następowaniem coraz inszego pana z czasem więcej przybywało, aż też do takiej wielkiej niesprawiedliwości, jaka teraz jest, przyszło.

Zje-li król jedno jabłko z poddanego sadu,
Słudzy drzewo wywrócą z pańskiego przykładu;
Jeśli król pięć jaj gwałtem komu wziąć pozwoli,
Słudzy tysiąc kokoszy wydrą poniewoli.

(str. 55) Nie trap się bardzo, gdy cię jaki człek uszkodzi,
Bo szkoda i pożytek nie z ludzi pochodzi.
Sam Bóg i nieprzyjaźnią i przyjaźnią włada,
I każda z nich tylko tam, gdzie on każe, pada.

Nawet strzały, choć czasem z cięciwy wypadnie,
Z jego łaski ostróżny uchroni się snadnie.

(str. 102). Jednego człowieka, pokój lubiącego, przyjaciel pokorny służył na dworze cesarskim i miał urząd niepośledni. Owemu nigdy się nie trafiło widzieć i dawną pokrewną znajomość potwierdzić. Jeden tego wiadomy spytał owego.

— Dawnoś widział tego a tego przyjaciela swego?

Odpowiedział:

Nie pragnę się z nim widzieć.

Cóż za przyczyna? spytał.

— Przyczyny inszej nie masz, oprócz że człowieka na urzędzie będącego wtenczas widzieć najlepiej, kiedy mu już urząd wezmą; gdyż myśli i frasunku wolen będąc, przyjacielowi radniejszy bywa, za ustąpieniem też urzędowej hardości.

Gdy się kto szczęściem wyniosłem upęta,
Nierad o swoich powinnych pamięta;
Ale gdy zgubi bogactwa niepewne,
I obce sobie przyznawa za krewne.

Dla porównania przytoczę tutaj ostatnią tę przypowieść z przekładu Kazimirskiego:

Pewien miał przyjaciela na urzędzie; długi czas nie zdarzyło mu się go odwiedzić; ktoś mu rzekł: „Nie mały czas, jak tego a tego nie widziałeś. ” Odpowiedział: „ja go nie chcę widzieć. ”Trafiło się, że był temu przytomny jeden z przybocznych owego urzędnika, ten zapytał: „Cóż on ci zawinił, że ci go nieprzyjemnie widzieć?” „On mnie nic nie zawinił, odpowie, ale przyjaciół urzędników wtenczas należy odwiedzić, kiedy z urzędu wypadli, a ja nie chcę szukać mojej przyjemności w tem, coby jego bolało.”

Wpośród honorów i wśród spraw natłoku,
Stronią zazwyczaj od dobrych znajomych;
Gdy są w niedoli i z urzędu spadli,
Zbolałe serce do przyjaciół niosą.”

(Z. C.)

Inflanty Polskie

poprzedzone ogólnym rzutem oka na siedmiowiekową przeszłość całych Inflant skreślił Gustaw Baron Manteuffel. Przedmowę napisał J. I. Kraszewski. Poznań. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego.

Pragniemy zwrócić uwagę czytelników na to prawdziwie wspaniałe dzieło, przynoszące zaszczyt autorowi, wydawcy i nakładowéj księgarni. Ozdobność wydania podnoszą piękne drzeworyty, odbite na 24 stronach, między niemi jest kilka rysunków Napoleona Ordy. Wydanie tego dzieła zawdzięczamy J. Kraszewskiemu, który w przedmowie o niém powiada: „Dzieło chwali się samo i zalecenia nie potrzebuje.“ W rzeczy saméj praca ta jest bardzo sumienna i wyczerpująca. Autor sprostował wiele błędnych wyobrażeń o tym dalekim zakątku ziemi polskiéj. Pokazuje się, że nawet takie poważne dzieła, jak Starożytna Polska Balińskiego, liczne co do Inflant popełniły błędy. W literaturze polskiéj jest to obecnie najlepsza praca o Inflantach Polskich.

Podalibyśmy chętnie na próbę kilka rycin, ale mimo usilne starania, nie udało się nam uzyskać pozwolenia na odbicie kilku drzeworytów w „Lechu“. Za to podajemy przedmowę J. I. Kraszewskiego.

W roku 1869 ukazała się w Rydze (Kymmel) książka pod tytułem: Polnisch-Livland, jako osobna odbitka z inflantskiego rządowego dziennika z roku 1868 (Nr. 128—144), przyozdobiona kilką mapami i rysunkami. Czytając ją i widząc z jaką starannością autor starał się odmalować tę cząstkę kraju niegdyś do Polski należącego, pożałowaliśmy wielce iż zaledwie będzie u nas znaną.

Od czasu, bardzo dziś przestarzałego Hylzena, do którego jednak wszyscy, starający się bliżéj poznać tę prowincyę, uciekać się byli zmuszeni, nie mieliśmy nic dokładniejszego w tym przedmiocie, chociaż miejscowe studya obfity ku temu materyał przygotowały. Staraliśmy się więc o to usilnie, ażeby autor albo sam dał nam owoc swych poszukiwań po polsku, lub pod swém okiem uczynił go polecić.

Wiadomo dostatecznie, jak podobne monografie pojedyńczych części kraju, ważne są dla historyka, jeografa i każdego co się bliżéj chce obeznać z przeszłością. Tylko z pomocą ich możemy przyjść do poprawniejszéj starożytnéj Polski, do utworzenia sobie obrazu całości dawnych ziem rzeczypospolitéj. Cieszymy się więc wielce, że dziś przejrzane, uzupełnione, wykończone na podstawie nowych źródeł, możemy dać czytelnikom: Inflanty Polskie.

Jest to treściwy wprawdzie, ale pełny obraz części kraju dawniéj polskiego, jego przeszłości i teraźniejszości. Dzieło chwali się samo i zalecenia nie potrzebuje. Autor miał we władaniu swem wszystko, czego potrzebował, aby zadanie rozwiązać jak najszczęśliwiéj, dokładną znajomość źródeł, przystęp do nich, miłość dla swego rodzinnego kątka, obeznanie się z nim żywe, wiedzę, i poczucie tradycyi miejscowych, bezstronność wreście potrzebną do trzeźwego sądu o przeszłości, która ze stanowisk różnych, bardzo rozmaicie wydawać się i sądzoną być zwykła. Czytelnik znajdzie w opisie tym Inflant polskich nietylko główne ich dziejów zarysy, ale zarazem sprawozdanie z obecnego ich stanu; heraldycy i genealogości wdzięczni być powinni za wyborne opracowaną część o szlachcie inflantskiéj, która w polskiem wydaniu całkiem jest nową. Porównanie z niemieckim artykułem: „Polnisch-Livland“ wskaże łatwo jak wiele dzieło na przekładzie zyskało, jak znacznie jest uzupełnione tak że można powiedzieć iż nową książkę stanowi.

Pozostaje nam życzyć tylko, ażeby każda z dawnych prowincyi rzeczypospolitéj, znalazła równie pracowitego i sumiennego monografa. Wielkiéj wartości swojego czasu Starożytna Polska Lipińskiego i Balińskiego, dziś jeszcze cenna w wielu bardzo swych częściach gwałtownie się domaga sprostowań i dopełnień.

Mamy nadzieję, że czy w téj formie czy w postaci słownika jeograficznego dawnych ziem polskich, doczekamy się nowéj pracy w tym przedmiocie, niezmiernie potrzebnéj i pożądanéj. Przygotowany materyał dla Galicyi, Inflanty te, i rozproszone pojedyńcze studya każą się nam spodziewać iż się ktoś podejmie dać nową Starożytną Polskę.

Być może, iż niektórym ziemiom braknie jeszcze dość wyrobionych materyałów, lecz łatwoby się one, powołaniem do ich zbierania, uzyskać mogły.

Szczęśliwi jesteśmy, że choć cegiełkę do budowy, bardzo szacowną pomogliśmy przynieść dla przyszłego budowniczego. Szanownemu autorowi składamy szczere dzięki za to, że prośbie naszéj zadość chciał uczynić.

Uwagi Krytyczne
E. Calliera
nad
Złotą Księgą Szlachty Polskiéj,
ułożoną i wydaną przez
Teodora Żychlińskiego.
VI.
Brezowie herbu własnego.

Przypuszcza Niesiecki, że Brezowie pochodzą z Francji i wiąże ich z rodziną *Brezé*, nie troszcząc się, jakim herbem dom ten się pieczętuje. Encyklopedja zaś Powszechna i Święcki twierdzą stanowczo, że „*Breza*“ jest herbem tegoż nazwiska (?) rodziny francuzkiéj.

P. Żychlińskiemu zdaje się, że trykolor francuzki, wyrażony na tarczy herbowéj Brezów, wskazuje na ich pochodzenie francuzkie; nadmienia wszakże przy téj sposobności, że i w Marchji istnieje dotąd rodzina von Briesen, która tegoż samego herbu używa.

Zdaniem mojem więcéj tu jest analogji z niemieckimi *von Briesen*, jak z francuzkimi *Brezé;* a ponieważ żaden z heraldyków historycznego początku herbu Brezów nie podaje, wolno mi zapuszczać się w własne domysły.

Są na Śląsku wsie, których nazwy z biegiem czasu i postępem tak zwanej kultury niemieckiéj przekształciły się na; Braesa, Bresa, Breesen, Briese i Briesen. Pomiędzy wsiami temi jest jedna, którą zwano „Breza“ w r. 1338, „Brece“ w r. 1377, „Bresina“ w r. 1778, a w najnowszych czasach zwie się „Bresa“ czyli „Briesen.“

Nie śmiem twierdzić, ażeby wieś ta była wspólnem gniazdem rodzinnem naszych Brezów i niemieckich *von Briesen*, pisownia jéj atoli pierwotna, następnie ucieranie i ostateczne przekształcenie jéj, obok wspólności herbu i powszechnego zwyczaju przyjmowania nazwisk od wsi rodzinnych lub dziedzicznych, tudzież okoliczność, że Ernest Breza miał za żonę Ślązaczkę „Barbarę de Szenech Karlut“, czyli raczéj de Schönaich-Carolath naprowadza na przypuszczenie téj wspólności, czego rozstrzygnienie wszakże pozostawiam naszym heraldykom. —

Co do pojedyńczych członków rodziny Brezów zna Niesiecki wojewodę tylko Poznańskiego, synowców jego i Barbarę Breziankę, wydaną r. 1647 za Piotra Bnińskiego. Encyklopedja Powszechna twierdzi, że dom Brezów osiadł w Polsce za Władysława IV i uzyskał indigenat. Bobrowicz zaś, dopełniacz Niesieckiego, i po nim p. Żychliński wykazują Ernesta z Goraja Brezę, który już za Zygmunta I, bo w r. 1591, osiedlił się był w Polsce, i Mikołaja-Tytusa, zmarłego w r. 1655; od nich pochodzą współcześni nam Brezowie.

W Złotéj Księdze zamieścił nasz autor żyjących tylko członków tego domu, odwołując się do swéj Kroniki Żałobnéj, wydanéj r. 1877. Tu skreślił obszerny nekrolog czczonej powszechnie śp. Konstancji z Mycielskich Breziny, a w Złotej Księdze krótkie wspomnienie pośmiertne o śp. pułkowniku Józefie; to przecież nie wystarczy, ażeby się dowiedzieć, w jaki sposób dom Brezów wywiązał się z obowiązków w obec kraju i Ojczyzny. I tak o wojewodzie n. p. Poznańskim, wybitnym téj rodziny członku, nie powtórzył nawet, ani nie streścił p. Żychliński, co o nim podają Encyklopedja Powszechna i Niesiecki. To też monografia Brezów, zawarta w Złotéj Księdze i w Kronice Żałobnéj, wzięta razem, nie wyczerpuje przedmiotu ani pod względem historycznym, ani nawet genealogicznym.

Zdaniem mojem należało uwydatnić w téj rodzinie to, co winnych z czasem się zaciera; należało wyliczyć zasługi jéj zwłaszcza w okresie porozbiorowym, gdyż zamiast starostw, kasztelanji, buław i dostojeństw, — więzienie, kula, stryczek, nędza i wygnanie oczekują zasłużonych; należało wspomnieć przynajmniéj, że Konstanty Breza zginął pod Dubienką, że rok 1831 liczył oprócz urzędnika Tytusa, pięciu oficerów: Achilesa, Augusta, Henryka, Józefa i Maksymiliana Brezów.

Nawiasowo powiem także p. Żychlińskiemu, że nieznany mi bliżéj Breza zamordowany został z całą rodziną w Czehrynie r. 1768 podczas rzezi Humańskiéj; mamka uniosła tylko maleńkiego synka i przechowała go pod mostem. Podaje ten szczegół, jeżeli pamięć mnie nie myli, Czaykowski w przypiskach do Wernyhory. —

Kończąc, muszę zaznaczyć tu moje zdziwienie, że Kosińskiego Przewodnik Heraldyczny nie zamieścił Brezów w poczcie rodzin senatorskich.

Pociecha w niedoli.

Pij twój kielich z Bożéj woli,
Do kropelki sącz,
A twe serce co tak boli
Z sercem Bożém złącz.

Niech cichutko łzy twe płyną
Do Jezusa ran,
Ziemskie bóle prędko miną
I pocieszy Pan.

Twoja siła mało może,
Ale mocny Bóg!
Dźwigać krzyże ON pomoże
Wśród wygnania dróg.

O idź śmiało, chociaż ciernie
Ranią słabą duszę twą,
Krzyż ci dany dźwigaj wiernie,
Choć z boleści łzą!

A gdy Jezus już uciszy
Twéj boleści jęk,
Twoja dusza wnet usłyszy
Wiecznéj pieśni dźwięk.

X.



Melon szpalerowy.

Ogrodnictwo, umiejętnie zastósowane, przynosi nietylko znaczne korzyści, ale przyczynia się zarazem do upiększenia powierzchni ziemi, zamieniając ją w raj rozkoszny. Ozdobne ogrodnictwo rozwinęło się na podziw we Francyi. Tam umieją korzystać z każdego kawałka ziemi. Kwitnie mianowicie we Francyi szpalerowe ogrodnictwo.

Podajemy dziś obrazek melona, który pnąc się po szpalerze, miły dla oka przedstawia widok. Udaje się dobrze przy murach, wystawionych na południe, albo i w wolno stojących szpalerach. Owoc dochodzi wielkości strusiego jaja. Mięso jest bardzo aromatyczne. Życzyćby wypadało, aby zająć się uprawą téj pięknéj rośliny. Nasion nabyć można w Erfurcie w zakładzie ogrodniczym F. C. Heinemanna. Po niemiecku zowie się ów melon: Grüne Klettermelone.

Od Redakcyi. N. N. w Poznaniu. Prosimy.

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.